

PRAWIE JAK W DOMU



SARAH GAILEY

TO MIEJSCE SKRYWA ZNACZNIE WIĘCEJ
NIŻ TYLKO WSPOMNIENIA...



SARAH GAILEY

**PRAWIE
JAK
W DOMU**

PRZEŁOŻYŁ
Robert J. Szmidt



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Just Like Home

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Will Staehle

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © Will Staehle

DTP: pagegraph.pl

Just Like Home

Copyright © 2022 by Sarah Gailey

All rights reserved.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-322-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



ROZDZIAŁ 1

Dom Crowdera wnikał w ziemię jak wilgotne powietrze w rozgrzaną skórę.

Vera przewidywała, że powrót do miejsca, w którym dorastała, będzie trudny. Niewiele brakowało, by wycofała się w ostatniej chwili, znajdując sobie idealną wymówkę: jestem tak bardzo zapracowana, że nie mam czasu patrzeć, jak umierasz.

Ośłoniła teraz oczy rozprostowaną dłonią, próbując zmniejszyć ilość blasku bijącego od rozświetlonych słońcem szyb w oknie sypialni jej rodziców. Dłużej nie mogła czekać.

Podobnie jak jej matka.

Stała jedną stopą na trawniku, drugą na podjeździe, pocąc się, spięta do granic, jakby nawet stąd mogła dosłyszeć jęki konającej wewnątrz Daphne. Ten dom zbudowano jednak tak, by nie wpuszczał do środka wiatru i nie wypuszczał na zewnątrz żadnych dźwięków. Stał więc przed nią, czekając cierpliwie, aż wejdzie, i nie ujawniając swych sekretów niezależnie od tego, jak długo czy hardo na niego patrzyła.

Ojciec Very, Francis Crowder, zbudował ten dom na długo przed jej urodzeniem, tuż po poślubieniu matki. Zanim to wszystko zdążyło się wydarzyć, zanim wszyscy poznali

jego nazwisko. Postawił go parą silnych rąk dokładnie pośrodku trawiastej działki i oto są: dwie kondygnacje nad poziomem ziemi i jedna wkopana w głąb. Wymurował go dla Daphne, by miała gdzie żyć i umrzeć, a ona – na co wszystko wskazywało – spełni jego życzenie.

Francis nie otrzyma szansy na skonanie we własnym domu.

To nie jest już możliwe.

Tylko ta konstatacja mogła skłonić Verę do powrotu tutaj, jeśli nie liczyć głosu potwornie schorowanej matki, która zadzwoniła i zaprosiła ją do siebie.

Właśnie dlatego stała tak długo przed Domem Crowdera, pozwalając, by późnowiosenna dusząca wilgoć wnikała głęboko w jej krtań. Posępny wygląd tej budowli łagodziła zieleń porastająca ją ze wszystkich stron. Jak okiem sięgnąć wszędzie zakwitły kwiaty, co zawsze działo się tuż przed nadejściem pełni lata, które niweczyło każde z dokonań wiosny. Powietrze było gęste od zapachów jaśminu, lilii i glicynii, oszałamiająco słodkich i tak intensywnych, że człowiek chciałby się w nie wgryźć. Vera czuła się tak, jakby próbowała oddychać świeżo wyciśniętym sokiem tryskającym bezlitośnie prosto w jej płuca, aby tam się umościć i zagnieździć na dobre. Pozostawanie na zewnątrz było dla niej niemal tak trudne jak przestąpienie progu.

Niemal.

Daphne nigdy wcześniej nie prosiła jej o przyjazd do domu. Ani razu przez te dwanaście lat. Vera powinna wiedzieć, że to oznacza, iż nie powinna robić sobie nadziei, lecz nie umiała wyzbyć się uczucia, które nabrzmiewało w jej sercu jak wrzód, po którego pęknięciu musi pozostać blizna.

Przyjechała do domu gnana nadzieją, ale nie przekroczy jego progu, dopóki się z niej nie otrząśnie. Nie mogła tam wejść obciążona takim brzemieniem.

W Domu Crowdera nadzieja była niczym kula u nogi.

Ściągnięto ją tutaj pod pozorem konieczności zrobienia porządków i towarzyszenia matce w ostatnich chwilach życia. Zyska szanse na wyprostowanie wszystkiego, dopiero gdy wywiąże się z tych zadań. Nie dokona jednak niczego, stercząc tutaj, jedną nogą na trawniku, drugą na podjeździe, oślepiana blaskiem słońca, z płucami wypełnionymi syropem.

Zmusiła się do zrobienia pierwszego kroku w kierunku domu, potem kolejnego. Trawa pod jej stopami była gęsta i sprężysta, poprzeplatana koniczyną, opita wodą z roztopów. Vera parla naprzód, zgniatając zielen przy każdym stąpieniu. Było to co krok łatwiejsze, ani się więc obejrzała i już stała na krawędzi werandy.

Od drewnianych stopni prowadzących na nią bił gryzący odór lepiku. Zbito je dopiero co z sekwojowych desek, w niczym nie przypominały więc białych schodów, które pamiętała sprzed dwunastu lat. Były takie inne od tych, które zrobił jej ojciec. Tamte poznała dokładnie dłońmi i stopami, tylną stroną ud, wiedziała, w którym miejscu Francis dotykał grubymi rękawicami desek, by uformować z nich kształt łączący drzwi wejściowe z trawnikiem od frontu.

Przeglądała się świeżemu drewnu, próbując dodać je do tego wszystkiego, o czym wiedziała wcześniej i co pozwalało jej zapomnieć o tak głupich pomysłach, jak wybaczenie czy powrót do domu. Daphne musiała się zarazić pomysłem zbudowania nowej werandy, przesiadując w także odnowionej

niedawno szopie ogrodowej. Nowe schody oznaczały, że już od jakiegoś czasu była świadoma tego, co nieuchronnie nadchodzi. Naprawiała dom, by jej jedyna córka miała mniej problemów z jego sprzedaniem, po czym zadzwoniła do niej dosłownie w ostatnim momencie.

Vera zastanawiała się, czy robotnicy nie znaleźli czegoś podczas rozbierania starych schodów. Wydało się jej logiczne, że to, co pod nimi ukryła, musiało ulec zniszczeniu. Gdyby było inaczej, lokalne media trąbiłyby na prawo i lewo o odkryciu przedmiotów, które schowała tam przed tak wielu laty.

Media informowały przecież o każdej nowince, na którą trafiły.

Zapach świeżego drewna ofiarował jej to, czego teraz najbardziej potrzebowała: przypomnienie, jak się rzeczy naprawdę mają. Jak niemiłe była tutaj widziana, i to aż do tej chwili. Wdychała woń sekwoi, próbując wykrzesać z serca resztki nadziei, po czym przyglądała się bez cienia litości, jak zdychają, wijąc się w bólach, dopóki nie ostygną i nie znieruchomieją do reszty.

Tak należało postąpić: wyzbyć się nadziei, i to do cna. Tylko to mogła zrobić. Wiedziała przecież doskonale, że są uczucia, które w tym domu nie zdołają przeżyć.

Ciemna plama na nowiuteńkim drewnie okazała się lepka, przywarła do podeszwy buta, jakby chciała ściągnąć Verę na sam dół. Stając na najwyższym stopniu, pstryknęła palcami prawej dłoni – zrobiła to czterokrotnie, raz po raz. To był jej stary nawyk, dziecięcy tik, którego się wyzbyła, opuszczając dom. Zerknęła na rękę szczerze zdziwiona, zszokowana nawet tym pokazem zdrady, ale palce nie

zamierzały za nic przeproszać. Pamiętały dobrze, co powinny robić, by poczuła się bezpieczna, pamiętały to z czasów, gdy była tak młoda, że poddała się przesądowi i nie robiła nic, by się od niego uwolnić. Wiedziały doskonale, że tylko dzięki tym czterem pstryknięciom zdołała stać się tym, kim obecnie jest.

Drzwi frontowe Domu Crowdera wyglądały na szczęście tak jak dawniej. To o nie opierał się ojciec, gdy budował ten dom, to one zamknęły się za nią, gdy wyjeżdżała stąd wiele lat temu. Miały barwę głębokiej ciemnej zieleni, wyposażono je w mosiężną gałkę i prostokątne okienko umiejscowione trzydzieści centymetrów powyżej poziomu jej oczu. Zbyt wysoko jak dla niej, ale tak miało być, ponieważ służyło ojcu do sprawdzania, kto stoi na zewnątrz.

Jej klucz otworzył zamek bez jednego zacięcia czy zgrzytu. Farba rozgrzała wewnątrz przytkniętej do skrzydła dłoni Very. Ujęta palcami aksamitnie gładka gałka poddała się natychmiast, praktycznie bez oporu, wpuszczając ją do domu zbudowanego przez ojca.

Drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie.

Minęło dwanaście lat, odkąd po raz ostatni stała po tej ich stronie. Pokrywający ją pot sechł błyskawicznie w klimatyzowanym wnętrzu mrocznego przedsionka, szybko zastąpiła go wciąż lepka gęsia skórka.

Wyciągnęła dłoń i nie patrząc, upuściła klucz do czarki na stoliku pod ścianą, przeznaczonej wyłącznie do tego celu, znajdującej się w tym samym miejscu, odkąd pamiętała, do czarki, która pozostanie tutaj, póki Vera nie odeśle jej ze wszystkimi rzeczami należącymi wcześniej do jej matki. Klucz opadł na dno naczynia z czystym brzękiem.

Dom natychmiast pochłonął ten dźwięk, ponieważ doskonale wiedział, co robić, by zachować idealną ciszę.

Vera wciągnęła do płuc zastale powietrze miejsca, w którym przyszła na świat. Miejsca, w którym dorastała. Miejsca, które porzuciła.

Miejsca, w którym zamierzała umrzeć jej matka.

ROZDZIAŁ 2

Po głębszym zastanowieniu Vera uzmysłowiła sobie w końcu, że o powrocie zaczęła myśleć jakieś dwie posady temu. Któryś z kolegów zobaczył Daphne w wiadomościach, gdy zajmowała się wprowadzaniem danych w firmie produkującej wyroby z tworzyw sztucznych. Wtedy jej matka nie wyglądała jeszcze na schorowaną i nie przejawiała zainteresowania córką, a do dziennika telewizyjnego trafiła dlatego, że ogłosiła, iż zamierza przekształcić Dom Crowdera w rezydencję artystyczną. Chciała wystawić w nim serię obrazów, oprowadzać gości i prowadzić lukratywne aukcje. Człowiek, który to oglądał, dostrzegł niesamowite podobieństwo łączące Daphne i Verę (to takie oczywiste), a gdy podano nazwisko występującej kobiety, wszystko stało się jasne. Współpracownicy dowiedzieli się szybko, kim jest. I kim był jej ojciec.

Naprawdę trudno było nie powiązać tych faktów ze sobą.

Atmosfera w biurze zrobiła się napięta, dawni przyjaciele poznikali, e-maile pozostawały bez odpowiedzi, pókj socjalny pustoszał, gdy tylko do niego wchodziła. Vera sama stawiała się w kadrach, by nie musiano jej tam wzywać. Usłyszała, że w tym wypadku chodzi o najzwyklejszą

redukcję stanowisk pracy, co uznała za przejaw uprzejmości ze strony pracodawcy.

Ten ciąg wydarzeń musiał mieć coś wspólnego z przeznaczeniem: drugą pracę straciła w identycznych okolicznościach, niedługo później rozwiązano z nią umowę najmu mieszkania, a Daphne zadzwoniła, gdy Vera szykowałą się do rozpoczęcia kolejnego etapu życia, jak zwykle tymczasowego.

Po tej rozmowie wmawiała sobie, że jest obecnie dużo lepszą osobą, a jako dobra córka powinna wrócić do domu. Co więcej, ulżyło jej, że nie będzie musiała szukać kolejnego umeblowanego lokum ani przyzwyczajać kręgosłupa do używanego wcześniej przez inne osoby materaca albo do twardych sprężyn sofy. Nie miała także zbyt wielu rzeczy do spakowania.

Podarowała ostatnie trzy rybki dziewięciolatkowi mieszkającemu piętro niżej. Obiecał, że postara się zachować je przy życiu. Nie dawała im wielkich szans, ale to nie był już jej problem.

Nie miała także problemu z porzuceniem dawnego życia. Robiła to przecież wielokrotnie. I choć było to dla niej łatwe, szybko zdała sobie sprawę, że wszystko ma swoją cenę, co znaczy, że za moment sprawy zaczną się mocno komplikować.

W jej wspomnieniach Daphne Crowder była smukłą wysoką kobietą o masywnej szczęce, niezdejmującą nigdy cieniutkiej bransoletki osobą, która woli przegryzać nitki, niż je przecinać. Była kobietą, która zgarnia na szufelkę fragmenty rozbitej filiżanki, pakuje drugie śniadania do wymiętych woreczków foliowych i patrzy bykiem na pranie, które

trzeba poskładać. To ona wychowywała Verę przez siedemnaście i pół roku, po czym zatrzasnęła drzwi za jej plecami i pozamykała je pospiesznie na siedem spustów.

Tamtego dnia ucałowała córkę w policzek, unikając przy tym kontaktu wzrokowego, a już moment później Vera stała na ganku domu wybudowanego przez jej ojca z granatową torbą podróżną na ramieniu i jasnoniebieską walizką w dłoni. Gdy usłyszała zgrzyt zasuw, dotarło do niej, że to miejsce nigdy już nie zechce jej gościć. Droga powrotu została definitywnie zamknięta – była o tym święcie przekonana.

Tyle że otwarto ją ponownie w tym właśnie momencie.

Vera przystanęła pod łukiem oddzielającym jadalnię od przedsionka, trzymając w ręku tę samą granatową torbę podróżną i tę samą jasnoniebieską walizkę. Rozejrzała się uważnie wokół. To był ten sam dom, tyle że wszystko, na prawdę wszystko wyglądało teraz inaczej.

Krzesła poprzesuwno pod ściany, miejsce stołu zajęło regulowane szpitalne łóżko, na którym leżała kobieta spoglądająca na Verę oczami jej matki. Jej skóra wyglądała dziwnie, jakby zrobiono ją z wosku i papieru, wydawała się też zbyt obszerna jak na osobę tych rozmiarów. Krótko mówiąc, nie przypominała w niczym Daphne Crowder.

Zawstydzona Vera z trudem przełknęła ślinę. Poczuła się nagle tak, jakby przeszkodziła matce w naprawdę intymnej czynności. Na przykład w braniu kąpieli, masturbowaniu się albo wbijaniu sobie w dłoń kuchennego noża.

Umieranie było czymś znacznie bardziej osobistym niż każde z wymienionych zachowań. Nagle poczuła przemożną chęć przeproszenia za to nagle wtargnięcie.

– Wyglądasz na zmęczoną – stwierdziła kobieta z łóżka.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova